NOWA ZORZA

(przedtem: „NOWY DZWONEK“).

PISMO SPOŁECZNO - POLITYCZNE I OŚWIATOWE.

Rocznik I (XXXII). — Rok 1925. — Nr. 2.

Adres redakcyi: **Kraków, ul. Powiśle l. 12.**

NAKŁADEM WYDAWCY.

ODBITO W DRUKARNI „CZASU“ W KRAKOWIE.

Kalendarzy żadnych na składzie **nie mamy**, ani ich nie sprzedajemy.

Życzliwych nam Czytelników

prosimy o rozszerzanie „NOWEJ ZORZY“ między znajomymi i zachęcanie ich, aby sobie to pismo zaprenumerowali.

Kto dziś rozszerza i wspomaga pismo katolickie, spełnia taki sam dobry uczynek, jakby dawał ofiarę na budowę kościoła; — tak orzekł jeden z ostatnich Papieży.

Kogo tedy stać, i kto pragnie nam dopomóc, niechaj oprócz prenumeraty nadeśle jaki DATEK na „fundusz wydawniczy“ dla „Nowej Zorzy“ gdyż samą prenumeratą nie można dziś pokryć kosztów wydawnictwa, a my będziemy za tę pomoc bardzo wdzięczni.

Jeżeli kto nie otrzyma „Nowej Zorzy“

w swoim czasie, a najpóźniej 3 lub 4 dni po terminie, niech najpierw upomni się o niego u swego Urzędu pocztowego i zwróci mu uwagę, że pismo do rąk jego nie dochodzi, a nas niech zawiadomi reklamacyą, że tego a tego numeru pisma nie otrzymał.

Reklamacyę pisze się na kartce papieru, daje się do koperty, a na kopercie w górze pisze się: Reklamacya, a niżej adres do Redakcyi. Koperty się nie zalepia. — Reklamacyi się nie opłaca.

Rocznik I. (XXXII.) Kraków, 15 lutego 1925. Nr. 2.

NOWA ZORZA

(przedtem: „NOWY DZWONEK“)

PISMO SPOŁECZNO-POLITYCZNE I OŚWIATOWE

WYCHODZI CO SZEŚĆ TYGODNI.

NOWA ZORZA kosztuje w Polsce na rok: 4 złote — półrocznie 2 złote. — Numer pojedynczy: 50 groszy. Do Ameryki na rok: 1 dolar.

Adres: Redakcya „Nowej Zorzy“ (lub Ks. M. Dziurzyński) w Krakowie, ul. Powiśle 12.

Świat na prawo — Polska na lewo!

W całej Europie daje się zauważyć powrót do ustalenia pieniądza, ta jednak stabilizacya wymaga rządów o zasadach umiarkowanych, a więc przeciwnych demagogii.

I rzeczywiście, narody coraz więcej przekonują się, że rządy lewicowe i demagogów szkodzą tylko państwu i prowadzą społeczeństwa nad brzeg zguby. Dlatego to we Włoszech przyszli do steru »faszyści«, zdeklarowani wrogowie socyalistów, bolszewików, żydów i wszelakich radykałów. »Faszyści« z Mussolinim na czele uratowali Włochy, które już już miały się stać łupem bolszewizmu.

W Anglji, krótkie rządy partyi robotniczej tak się dały ludności we znaki, że gdy przyszły wybory do parlamentu, społeczeństwo angielskie w ogromnej części opowiedziało się za konserwatystami i dziś rządzą tam prawicowcy.

W Niemczech objęła rządy partya narodowa, a więc również prawicowa.

We Francyi rządzą jeszcze, jakkolwiek od niedawna, lewicowcy i radykali, których przedstawicielem jest premier Herriot, ale politycy przewidują, że nie długo już te rządy potrwają, bo i tam zaczyna się budzić sumienie narodowe. Swiadczą o tem niedawne wybory uzupełniające do parlamentu odbyte w jednym z centralnych okręgów, spowodowane przez zgon jednego z posłów tegoż okręgu, radykała-

socyalisty. Przy poprzednich wyborach przeprowadzili socyaliści w tym okręgu trzech posłów. Kandydat bloku narodowego przepadł, choć otrzymał 16 tysięcy głosów. Teraz na tegoż kandydata padło 26 tysięcy głosów i został wybrany.

Podobny »zwrót na prawo« można zauważyć w całej prawie środkowej Europie, mimo przeciwnych a energicznych wysiłków masonów, socyalistów, bolszewików, żydów, czyli całej tak zwanej »międzynarodówki«.

Kto bacznie obserwuje nasze stosunki, może i u nas ten zwrot zauważyć. Coraz mocniejszem jest domaganie się w polityce państwa stałości, silnych rządów, poszanowania dla Konstytucyi i prywatnej własności, wogóle ogromna część naszego narodu pragnie spokoju i praworządności.

Oburzenie, jakie się objawiło w społeczeństwie na wiadomość o uchwale powziętej przez Sejm a mającej wywłaszczać właścicieli mieszkań na rzecz wojska, jest wielce znamienne.

Narodowi naszemu sprzykrzyły się już rządy lewicowe i próby bolszewickie, jakiemi socyaliści, wyzwoleńcy i różni radykały dotąd społeczeństwo uszczęśliwiali i dalej uszczęśliwiać pragną.

Dotąd szła i idzie jeszcze Polska ścieżkami lewicowemi, które ją doprowadziły do bezrządu, bo nie inaczej tylko bezrządem nazwać trzeba te wszystkie ustawy uchwalone przez Sejm, które wprost są przeciwne Konstytucyi.

Wiemy wszyscy, że zasady Konstytucyi nie są u nas należycie przestrzegane. Konstytucya proklamuje równość wszystkich obywateli wobec prawa, tymczasem Sejm uchwala ustawy uwalniające pewne klasy społeczeństwa od ciężarów na rzecz państwa, np. mniejszych rolników od podatków, bo panowie posłowie chcą w ten sposób zyskać sobie w przyszłości ich głosy.

Konstytucya zatwierdziła prawo własności prywatnej, a Sejm uchwala wywłaszczenie z tejże własności. Z Konstytucyą kłóci się mnóstwo ustaw sejmowych i wiele zarządzeń rządu, bo jedne i drugie uchwala się w myśl lewicowców, albo na żądanie posłów wysługujących się nie państwu, lecz swemu wyłącznie stronnictwu.

Prawne pojęcie lichwy wymaga, aby każdego obywatela dopuszczającego się lichwy spotykała sprawiedliwa kara, w Polsce zaś zapadła swego czasu w Sejmie ustawa, że

drobnych rolników prawo lichwy nie dotyczy, więc ci za lichwę, choćby największą, karani być nie mogą.

Jak świat długi i szeroki o podobnej ustawie, sprzecznej z prawem, nikt nie słyszał. Według Konstytucyi wszyscy obywatele są równi na punkcie obowiązków wobec państwa i mają ponosić odpowiednio ciężary podatkowe na jego rzecz. Sejm nasz jednak wydał ustawę uwalniającą rolników posiadających mniej niż 10 morgów ziemi od podatku gruntowego i stało się, że na 3 miliony 200 tysięcy gospodarstw rolnych, płaci ten podatek tylko 1 milion 500 tysięcy, a 1 milion 700 tysięcy rolników nie płaci go wcale.

W ostatnich czasach daje się też zauważyć widoczne przechylanie się premiera p. Grabskiego ku lewicy i uzupełnianie rządu członkami z lewicy.

Na »ministra do wszystkiego« powołał p. Grabski p. Thugutta, niedawnego prezesa »Wyzwolenia«, stronnictwa jak wiadomo, półbolszewickiego. Ministerstwo »pracy i opieki społecznej« oddano socyaliście, p. Sokalowi.

Pan Thugutt, jako minister, nad tem przedewszystkiem pracuje, by umożliwić Piłsudskiemu powrót do armii i oddania mu urzędu »generalnego dowódzcy i inspektora«, ale przed nikim nieodpowiedzialnego.

»Wyzwoleńcy« usiłują przeprowadzić w Sejmie wniosek o wywłaszczeniu większych rolników z ziemi, ale bez odszkodowania, a więc zupełnie w sposób bolszewicki i bandycki.

Z tych przykładów, a możnaby setki podobnych przykładów przytoczyć, widać, że nie jesteśmy państwem praworządnem, że jeszcze pragnienie powrotu do normalnych praworządnych stosunków nie ogarnęło wszystkich naszych ustawodawców.

Nic przeto dziwnego, że zagranica ciągle jeszcze z nieufnością spogląda na Polskę i zagraniczni kapitaliści z Zachodu nie spieszą się z ulokowaniem swoich kapitałów w przemyśle polskim, bo widzą, że więcej jeszcze u nas na wielu polach gospodarstwa i w polityce bolszewizmu i lewicowości, niż praworządności.

Oświata na wsi.

I. Siedmioklasowa szkoła powszechna.

Od chwili powstania państwa polskiego, mówi się u nas i pisze o potrzebie reform na wszystkich prawie polach naszego życia społecznego i reformy te w życie się wprowadza. Reformowanie wszystkiego naraz, to obecnie prawdziwa mania, albowiem wali się w gruzy wszystko, a na tych gruzach stara się natychmiast postawić nowy budynek. Ta mania reformowania opanowała także szkolnictwo. Całą prawie naukę dawną uznano za wadliwą i zacofaną, potępiono w czambuł wszystko i rozpoczęto nowe doświadczenia na organizmie dziecięcym.

Skutki tych doświadczeń zobaczymy w całej pełni dopiero za parę lat, ale już teraz możemy je z tego, co widzimy, ocenić. A więc przedewszystkiem szkoła ludowa ma być obecnie przekształcona na 7-klasową szkołę powszechną, a gimnazyalna nauka skrócona z 8 lat na 5. W demokratycznej Polsce musi bowiem być i nauka demokratyczna, t. j. przynajmniej początkowa jednakowa dla wszystkich warstw społeczeństwa.

Bardzo dobrze, lecz w miastach przemiana taka nie natrafiła na większe trudności, budynki są, sal dostateczna ilość, nauczyciele uczący w szkołach powszechnych miejskich, mają egzamina wydziałowe. Chociaż i tutaj zmianę tę przyjęło społeczeństwo ze zdziwieniem, gdyż do tego stanu rzeczy nie dostosowano programów, inne są w niższych klasach szkół średnich, inne w wyższych klasach szkoły powszechnej, ale to z czasem może się unormować.

Inaczej na wsi. Każdej szkoły nie można przekształcić na 7-klasową, gdyż takie mogą istnieć tylko we wsiach większych, gdzie są odpowiednie budynki, dostateczna ilość nauczycieli, którzy mogą uczyć na zmianę rano i po południu. Lecz nasze wiejskie szkoły są przeważnie jedno i dwuklasowe. Jeden z posłów nazwał te szkoły »największą krzywdą społeczną«. Ale gdy się dzieciom zamknie we wsi istniejącą szkołę dwuklasową, a każe się im iść do drugiej wsi do szkoły 7-klasowej — to jest dopiero ciężka krzywda. Oznaczono, że najdalsza odległość do szkoły nie może wynosić więcej jak 3 klm. Ale czy wsie są wszędzie tylko

o 3 klm. od siebie oddalone? Gdyby nawet tak było, czy da się ufundować, co druga wieś, szkołę 7-klasową? Bardzo to wątpliwe nawet w dalekiej przyszłości. Powiedzmy jednak, że dzieci nie będą dalej chodzić jak 3 klm. Dobrze się to mówi mieszczuchowi, który chodzi po trotoarach — ale dziecko na wsi idzie po błocie jesiennem, w którem można się utopić, w zimie po śniegu i zaspach, na wiosnę, gdy śnieg taje, po drogach przeważnie jak najgorszych. Wiadomo, że 3 klm. idzie się około 3 kwadranse, dla dziecka, które lezie powoli, przedłuży się ten czas do godziny, więc w zimie musiałoby po ciemku wyjść z domu A czy każde dziecko posiada dobre obuwie i ciepłe odzienie? W rzeczywistości są wsie, gdzie dzieci milami chodzą po górach, w zimie po zaspach, a nieraz ojciec na koniu musi dziecko przez zaspę przewieźć do szkoły.

Więc czy nie lepiej było trzymać się starej zasady, jaka była stosowana w Małopolsce i Wielkopolsce, aby starać się zaprowadzić szkołę, choćby tylko jednoklasową, ale w każdej wiosce, aby każde dziecko miało ułatwioną bodaj elementarną naukę czytania i pisania. To naturalnie nie wyklucza zakładania szkół 4-klasowych, gdzie tylko będzie można, a w dużych wsiach i miasteczkach 7-klasowych, do których można dać dziecko już starsze po ukończeniu szkoły czteroklasowej.

I jeszcze jedno. Oświata jak najwyższa niezawodnie przyczyniłaby się do podniesienia stanu włościańskiego, lecz trzeba przecież liczyć się z niskim stanem gospodarczym naszego włościaństwa. Dla wielkiej liczby włościan, oderwanie dzieci od pracy na roli do 14 i więcej lat życia (w razie powtarzania klas) byłoby takiem utrudnieniem w gospodarstwie, że obniżyłoby jeszcze bardziej uprawę roli, hodowlę bydła itp, a doprowadziłoby do znienawidzenia szkoły i oświaty.

Trzeba się liczyć z rzeczywistością i robić wszystko umiarkowanie i stopniowo. Nie burzyć, ale uzupełniać, dobudowywać i stopniowo podwyższać.

II. Program nauki jednaki dla szkół miejskich i wiejskich.

O ile mi wiadomo, posłowie ludowi sprzeciwili się temu, aby program nauki był inny na wsi, a inny w mieście. że to rzekomo poniża wieś, bo tam są dzieci tak samo uzdol-

nione jak w mieście i takiej samej nauki potrzebują. Czy takiej samej? o tem może powiedzieć nauczyciel, który na ostatnim kursie seminarjum prowadzi lekcje w szkole ćwiczeń a po maturze dostaje posadę w szkole wiejskiej. Staje bezradny i nie wie co począć. To, czego w mieście nauczył za godzinę, tutaj uczy tydzień. I nie ma się czemu dziwić. Dziecko miejskie z klasy robotniczej chodzi do ochronki, zamożniejsze do szkółki freblowskiej, albo już w domu się uczy w otoczeniu inteligentnem.

Co tu mówić, każdy wie, że jest tak, a nie inaczej, można też śmiało zaryzykować twierdzenie, że czego dziecko miejskie nauczy się w jednym roku, wiejskie musi się tego uczyć dwa lata. Naturalnie nie wyklucza to, że się znajdzie niejedno dziecko wiejskie wyjątkowo uzdolnione do tego programu — a naodwrót miejskie do niego nie dorośnie, ale mówi się ogólnie.

Programy szkolne obejmują: naukę robót ręcznych, tj. lepianki i wycinanki i gimnastykę na świeżem powietrzu. W mieście, tak — bardzo potrzebna taka nauka, chociaż co do lepianek i wycinanek niema dwóch zdań, że wartość tej nauki jest przesadzona, a godziny stracone. A jak to wygląda na wsi? W chałupie bieda, nieraz na sól niema, a szkoła zmusza rodziców, aby wydawali pieniądze na papiery kolorowe, plastylinę itp. Chłopi opierają się, wygadują na nauczycieli, sądząc, że to ich wymysły, lekceważą ich i naukę szkolną.

A gimnastyka na świeżem powietrzu, na jakiejś łączce niedaleko szkoły? Chłopski rozum mówi, że to nonsens, bo dzieci od urodzenia żyją na świeżem powietrzu, a pracując przy gospodarstwie, mają dosyć sposobności wyrabiać mięśnie i siły fizyczne. Gdyby tylko mogły się należycie odżywiać, to o rozwój fizyczny niema obawy.

Ale co dziecku pomoże gimnastyka, wyginanie się, wykręcanie nogami i rękami, jeżeli jest głodne, a często nawet bez soli i omasty jada? Jest to bezmyślne naśladowanie miastowych dzieci, które siedzą wśród murów, fizycznie nie pracują i sposobności do ruchu nie mają.

Chłopi ze zdziwieniem i złością patrzą na te łamańce gimnastyczne i zdrowym rozsądkiem wiedzeni, rozumieją, że to do niczego nie potrzebne i znowu tracą zaufanie do nauczycieli i nauki szkolnej. Oczywiście, że i w szkole wiej-

skiej pewne ćwiczenia zbiorowo wykonywane, uczą ładu, porządku i zgrabności w ruchach, ale musi to być przystosowane do potrzeb wiejskiego dziecka.

I w dawnej szkole gimnastyka była — ale nie było tej przesady i tego stawiania gimnastyki na równi z innymi ważniejszymi przedmiotami nauki. Skutek tego jest taki, że dziecko umie się gimnastykować, lepić z plasteliny, a nie umie płynnie czytać i ortograficznie pisać.

Dawniej uczono w szkołach męskich robót z drzewa (slöjdu), nie wiem dlaczego zarzucono tę naukę, chociaż była dobrze wyposażona w środki naukowe, nauczyciele kończyli specjalne kursa, a nauka ta uczyła rzeczywiście pożytecznej zręczności.

W szkołach wiejskich uczą się dziewczęta oprócz robót ręcznych, czyli lepienia i wycinania także robót kobiecych. Ta nauka to już jest tak prowadzona, że wyrządza więcej złego niż dobrego, bo znowu dzieci wiejskie uczą się tego samego co w mieście, a przez to przyczyniają się do zatracenia pięknych ludowych strojów i pięknej, ludowej sztuki. Wiadomo przecież, że w każdej wsi noszą odmienne stroje i ozdoby, czyto hafty, czy wyszywania itp. Rzeczą nauczycielki pielęgnować i prowadzić dalej to, co już we wsi jest znane, przerysować i przystosować do materjału, czy to będzie wyszycie na gorsecie, fartuszek, koszula lub poszewka.

Tymczasem nauczycielki uczą robić kołnierze richelieu (riszelie), bo to same umieją, krają koszule zapinane na ramionach, bo wiejskiej skroić nie potrafią. A przecież, mając jakie takie pojęcie o kroju, można wziąć taką wiejską koszulę lub gorset i formę sobie wyciąć, bo jeszcze są wsie, gdzie nie wszystkie dziewczęta ubierają modne bluzki z paskiem i wąskie spódnice, są wsie, które swoją dawną modę zachowały, gdzie kobiety noszą pończochy wełniane własnej roboty i z własnej wełny (w żywieckiem).

Nauczycielka sumienna musi się do wsi przystosować i uczyć tego, czego wieś sobie życzy i czego jej potrzeba; widziałam wsi, gdzie uczono wyszywania kolorowym jedwabiem okropnych kwiatków na kawałkach płótna, lub na obrusie na komodę, a tymczasem tam bardzo sobie dziewczęta życzyły nauczyć się robienia pończoch na drutach, a obrusik na komodę byłby bardzo ładny, zrobiony białą bawełną haftem dziureczkowym, lub kolorowym ściegiem z rysunkiem na

motywach w tej wsi używanych. Jeśli nauczycielka nie ma zdolności do rysunków, to może kogo poprosić o zrobienie takich wzorów.

Dawnemi czasy p. inspektor Udziela zbierał w powiecie podgórskim z pomocą tamtejszego nauczycielstwa hafty ludowe i wydał je w osobnej książce; w okolicach Makowa, w okolicach Czernichowa i innych, gdzie hafty były w modzie od babek i prababek, można znaleźć moc wzorów, tylko trzeba ich poszukać i umieć przystosować.

Co to za wdzięczne pole dla nauczycielki zebrać dziewczęta, nietylko szkolne, ale i starsze z bliższych chat u siebie w zimowy wieczór, uczyć różnych robót, zaśpiewać z nimi i pogawędzić. Poddaję tę myśl, opartą na własnem doświadczeniu, niech która z pań spróbuje, zamiast siedzieć wieczór samej i nudzić się, zgromadzić u siebie dziewczęta a ręczę, że wytworzy to tak potrzebne zaufanie wsi do szkoły, a będzie nawet z materjalną korzyścią dla nauczycielki.

Ale do tego potrzeba jednego: *umiłowania swego zawodu i umiłowania ludu*. Tymczasem, jak się nieraz słyszy, panienka została nauczycielką, aby zarabiać, i głośno przyznaje się do tego, że nienawidzi chłopów i dzieci też nie lubi. W takim razie nie ma po co wybierać się na wieś. Ludowi trzeba koniecznie serce pokazać, jeśli się od niego przychylności żąda. Zaznaczam, że dziewczęta wiejskie są do robót kobiecych bardzo uzdolnione i uczą się ich nietylko z ochotą, ale poprostu z zapalczywością.

Wielką rolę w programie nauki odgrywają rysunki, rysuje się ciągle, ilustruje bajki i opowiadania na nauce języka polskiego, rysuje na przyrodzie, na fizyce i na osobnych lekcjach rysunków. Tymczasem do rysunków, jak i do pięknego pisma mało jest dzieci uzdolnionych, babrzą ta i babrzą — jestto zresztą metoda nauki najłatwiejsza, każe nauczyciel narysować plan pokoju, święcone, szopkę itp. nie dając żadnych wskazówek, bo zresztą i sam nie jest (przeważnie) rysownikiem. Powstają w ten sposób rzeczy okropne, nietylko nie kształcące, ale niszczące poczucie piękna. Na taką naukę, to szkoda czasu i papieru, daleko większą korzyść przyniosłyby godziny kaligrafii, bardzo po macoszemu dziś traktowanej.

Gdy się policzy te godziny, użyte na gimnastykę na wolnem powietrzu, na rysunki kompozycyjne, na lepienie

i wycinanie itp. rzeczy uczone w wiejskiej szkole, to trzeba otwarcie powiedzieć, że na rzetelną naukę mało czasu zostaje. Słyszy się też nieraz na wsi wspominania o starych nauczycielach, którzy nauczyli płynnie czytać i ładnie pisać, a teraz dzieci się długo uczą, a niczego pożytecznego nie umieją. Albowiem chłop ceni tylko pracę rzetelną i pożyteczną i objawia w tem zdrowy rozum. Jeżeli mu dziecko zrobi koszyczek z papieru, studnię z tektury, konika z plastyliny, to słusznie się pyta: a na co się to przyda? Mówi się dużo o »szkole pracy«, która ma nauczyć szacunku dla pracy ręcznej, przygotować do zawodu, kształcić twórczość i zmysł praktyczny. Lecz taka szkoła, jaką dzisiaj widzimy, nie jest szkołą pracy, ale szkołą marnowania czasu na zabawki i bzdury.

Na godzinach więc robót ręcznych uczyć trzeba robić rzeczy pożyteczne, przydatne do użycia. Chłopcy niech się uczą łatwych robót z drzewa, wikliny i słomy, dziewczęta robót kobiecych, uszycia koszuli, spódniczki, wiejskiego kaftanika, robienia pończoch, łatwych haftów i koronek szydełkowych lub siatkowych dla siebie, dla matki i dla rodzeństwa.

O szkołach zawodowych napiszę w następnym numerze.

Antonina Piętkowa.

Co grozi światu?

Druty telegraficzne rozniosły w zeszłym miesiącu po całym świecie wieść, że sowiecka Rosya i Japonia zawarły między sobą sojusz, który zapewnia Japonji życzliwą neutralność ze strony Rosyi na wypapek zawikłania Japonii w wojnę na innym froncie, w zamian zaś daje ten sojusz większą swobodę działania Rosyi na jej froncie zachodnim, czyli od strony Polski Rumunii, Litwy i państw bałtyckich.

I co to wszystko ma oznaczać? Nic innego, tylko, że Japonia przygotowuje się do wojny na Oceanie Spokojnym, może w niedalekiej już przyszłości, i to ze Stanami Zjednoczonymi północnej Ameryki i z Anglją.

Japonia chce być panem na tem morzu, a przez to i panem Azyi, wykluczając z niej wpływy Ameryki i Anglji.

Przeczuwają to oba mocarstwa: Japonia i Ameryka, więc powiększają swe siły zbrojne na morzu i szykują się gorliwie do przyszłej wojny, która zakończy ich współzawodnictwo na korzyść jednej lub drugiej strony.

Zdawałoby się, że sam ogrom posiadanych środków przez Amerykę zakończy szczęśliwie dla niej ten zatarg między nią a zrujnowaną Japonią, ale wynik tej wojny może tu być wręcz przeciwny, bo ostatnia wojna, w której Ameryka brała udział, nie zdążyła pokazać sprawności bojowej armii amerykańskiej, a co potrafi zdziałać armia japońska, to pokazała w wojnie rosyjsko-japońskiej.

Wisi więc nad światem nowe i to groźne niebezpieczeństwo, które obejmie nie tylko Japonię i Amerykę, ale i Europę całą. Trzeba zaś nam wiedzieć, że Niemcy z utęsknieniem tego niebezpieczeństwa oczekują i wielkie pokładają w niem nadzieję.

Obecnie stan pokoju w Europie podtrzymuje jedynie obawa Niemców przed Ameryką, która nie dopuści do zatryumfowania Niemców nad Francyą, a ta ostatnia nie opuści Polski w razie napadu na nią ze strony Niemiec. Wszystko jednak zmieniłoby się na opak, gdyby Ameryka uwikłaną została w wojnę z Japonią. Wtedy Niemcy poczułyby się odrazu silne, wszczęłyby na pewno wojnę z Polską i z Francyą, a przedewszystkiem z Polską, równocześnie zaś odżyłyby na Węgrzech i w Austryi pretensye Habsburgów i przy pierwszej możliwości nastąpiłoby połączenie Węgier z Austryą.

Skutki tego faktu odbiłyby się wnet na państwach należących dawniej do Austryi a dziś samodzielnych, głównie zaś na Czechach i na Jugosławii.

Innemi słowy: jeżeli przyjdzie do wojny japońsko-amerykańskiej, to i Europa stanie w ogniu a traktat wersalski narażony będzie na wielkie niebezpieczeństwo.

Największymi jednak wrogami pokoju są Niemcy, którzy coraz śmielej głoszą, że nie spoczną, aż swe dawne granice z przed wielkiej wojny odzyskają a chociaż przyrzekły, podpisując traktat wersalski, nie zbroić się, to jednak po

cichu się zbroją i może już wnet wyrzekną się rządów republikańskich i przywrócą monarchię.

W pierwszych dniach lutego b. r. odbyły się we Wrocławiu demonstracye monarchistyczne, w których brał udział także były Kronprinz (następca tronu) poraz pierwszy od czasu powrotu do Niemiec

Na zgromadzeniu publicznem w tym dniu odbytem uczestnicy tegoż zebrania, a była ich liczba duża, zażądali: 1) przywrócenia monarchii, 2) odebrania Francyi Alzacyi i Lotaryngii, 3) i jak najrychlejszego przyłączenia z powrotem tej części Górnego Śląska, którą dziś posiada Polska. Równocześnie w całych Niemczech obchodzono uroczyście rocznicę urodzin byłego cesarza Wilhelma.

Przywrócenie monarchii w. Niemczech staje się tedy coraz prawdopodobniejsze. Rządy republikańskie, jako wynik klęski wojennej, nie były w ciągu tych sześciu lat nigdy popularne, przeciwnie, ogromna część narodu nienawidzi republikę, a tęsknem okiem zwraca się ku wypędzonej przez republikanów rodzinie cesarskiej.

A rzecz jasna, że gdy monarchia powróci, to nie będzie ona prowadziła pokojowej polityki, lecz dążyć będzie do odzyskania utraconych prowincyi, co. rozumie się, musi wywołać wojnę z Francyą i z Polską, a następstwem jej byłaby znowu wojna światowa.

Czy więc zwrócimy wzrok na Zachód, czy na Wschód, widzimy, że pokój światowy na bardzo słabych spoczywa podstawach i światu grozi znowu niebezpieczeństwo wielkiej wojny.

Genialny zbawca Polski.

Dziś często można się spotkać w Polsce ze zdaniem, że premier rządu p. Grabski, jako minister skarbu, uratował Polskę przez sanacyę, czyli uzdrowienie pieniądza polskiego, wprowadzając »złotego«, a niszcząc »markę«.

W tem twierdzeniu, jest, co prawda, trochę prawdy, ale jeszcze więcej nieprawdy, przesady i niezrozumienia rzeczy. P. Grabski uzdrowił wprawdzie skarb polski, ale

sprowadził klęskę pod względem gospodarczym, podciął przemysł, handel i zniszczył rolnictwo, na których właśnie spoczywa dobrobyt państwa i narodu, wpędził też w nędzę miliony obywateli.

Jeden z starszych a poważnych pisarzy warszawskich, p. Aleksander Świętochowski, tak ocenia i określa działalność p. Grabskiego, w 25-tym numerze *Gazety warszawskiej* z roku bieżącego:

»Zamiast być oględnym gospodarzem, stał się p. Grabski nieoględnym i okrutnym poborcą, sekwestratorem podatków. Kazał otworzyć społeczeństwu wszystkie żyły dla zasilenia skarbu państwa, a wypuścił z nich tyle krwi, że pozostało jej zaledwie trochę dla utrzymania życia w bezwładzie i omdleniu. »Złoty« polski stanął na najwyższym stopniu kursu giełdowego, ale wszystkie klasy społeczne zbiedniały aż do zupełnej nędzy — a drożyzna coraz mocniej zaciska swe duszące pętlice.

P. Grabski — pisze dalej p. Świętochowski — upodobnił państwo do gospodarza, który sprzedawszy plony, schował do kasy ogniotrwałej garść dukatów, a uważa się za bogatego, chociaż te dukaty musiał zastawić na pożyczkę dla pokrycia niezbędnych wydatków i chociaż nieopłacona służba przestała pracować, zagłodzony inwentarz zdycha, a pola leżą odłogiem.

I to się nazywa »naprawą skarbu«. Kto głupi uwierzy w to, człowiek zaś mający choć trochę zdrowego rozsądku, wie, że rzeczywistą naprawą skarbu byłoby ustalenie waluty, przy równoczesnem wzmocnieniu twórczych sił społeczeństwa (przemysłu, handlu, rolnictwa), a tego właśnie p. Grabski nawet nie zamierzał dokonać.

W sejmowej Komisyi budżetowej wykazał poseł p. Michalski, że liczba podatników zmiejsza się. Zaległości w podatkach bezpośrednich z przeszłego roku wynoszą 180 milionów złotych, na Pomorzu było w roku 1918 płatników podatku dochodowego 143 tysiące, a dziś tylko 13 tysięcy.

Jedni nie są w stanie płacić nałożonych na nich podatków, drugich zaś uwalnia się od podatków na żądanie grup posłów sejmowych, słowem, nie sanacya to waluty i państwa, ale łatanina.

Jest nadto jeszcze jedna śmieszna rzecz w budżetowem wyjaśnieniu p. Grabskiego, przedłożonem Komisyi budżetowej.

P. Grabski, opróżniwszy nasze kieszenie należycie, zaleca nam większe oszczędności. Jeżeli ta rada nie jest urągowiskiem powszechnej biedzie, to powinien nas nauczyć, z czego u licha mamy oszczędzać. Należałoby raczej podawać w pismach wizerunki tych szczęśliwców, czy też skąpców, którzy umieją i mogą odłożyć choćby 1 złotego a »Pocztowa Kasa Oszczędności« powinna ich na progu witać z honorami«.

Kto więc do takiej nędzy doprowadził społeczeństwo, kto się starał tylko o to, by »złoty« miał zbyt wysoki kurs na giełdzie, a nie dbał o gospodarcze podniesienie kraju, ten tylko w oczach ludzi płytko myślących może uchodzić za »zbawcę Polski«, w rzeczywistości bowiem sprowadził p. Grabski ruinę społeczeństwa i setki tysięcy rodzin wpędził w ostatnią nędzę, więc w całej Polsce przeważnie nie błogosławieństwo narodu idzie za nim, ale złorzeczenia i narzekania nędzarzy.

Jak to niektórzy inteligenci lud oświecają.

Wychodzi w Nowym Targu na Podhalu, pismo przeznaczone rzekomo dla oświaty górali podhalańskich, a zwie się ono: *Gazeta Podhalańska.*

W numerze 4-tym tegoż pisma z roku bieżącego, w artykule p. t. »Rok 1925 dla lasów tatrzańskich i podhalańskich« napisanym przez inżyniera p. Jarmulskiego, znajdujemy takie zdanie:

»Kultura i poczucie obywatelskiego obowiązku włościan wzięły górę nad egoizmem i osobistym interesem na korzyść dobra publicznego i tych czynników, które z Podhala zrobiły Podhale, które z życiem górala związały się korzeniem Duszy przyrody, które czy przy śpiewce, czy przy uroczystości, ba, nawet przy ostatniej przysłudze naszym najdroższym, manifestują swój integralny udział w rozwoju życia Polskiej Szwajcarji«.

Prawie w tym samym czasie, gdyśmy wyczytali powyższe zdanie w *Gazecie Podhalańskiej*, natrafiliśmy w pewnej detroickiej gazecie polsko-amerykańskiej takie ogłoszenie:

»Dziewiąty z rzędu odczyt »Polskiego Uniwersytetu Ludowego« odbędzie się w niedzielę 11 stycznia br. w Domu ludowym przy ulicy Jos. Campau itd. Odczyt wygłosi znany powszechnie w Detroit Dr Bolko-Orzechowski. Temat: »*Filozofia nędzy i nędza filozofii* — a zdrowe wskazania ekonomii społecznej i naturalny porządek rzeczy«.

Gdybyśmy mieli konia z rzędem, dalibyśmy chętnie temu, ktoby nam wskazał, ilu górali z Podhala zrozumiało co to jest »kultura«, co »egoizm«, i jakie to czynniki związały się korzeniem duszy przyrody z życiem górala.

Pierwszy też raz słyszymy, że »*Dusza przyrody ma jakieś korzenie*«!!!

I czy nie szkoda pieniędzy i papieru na taką oświatę?

Wątpimy też bardzo, aby pośród Polaków w Ameryce znalazło się wielu, którzyby zrozumieli odczyt p. Dra Bolko-Orzechowskiego »o filozofii nędzy i nędzy filozofii«, tembardziej, że szkolnictwo amerykańskie nie znajduje się wcale na wysokim poziomie i nie daje ludowi takiej wiedzy filozoficznej, by mógł odczyt podobnej treści zrozumieć.

Od wydawnictwa!

Jeszcze i w marcu nie możemy rozpocząć druku *Naszej Skarbnicy*, chociaż na marzec zapowiedzieliśmy wydanie pierwszego zeszytu *Skarbnicy*, gdyż dotąd nie zgłosiła się jeszcze dostateczna liczba prenumeratorów.

Prawdopodobnie w *kwietniu* b. r. rozpoczniemy wspomnanie wyżej wydawnictwo, aż się zgłosi większa liczba prenumeratorów. Gdyby zaś z braku prenumeratorów niemożliwem było wydawanie *Skarbnicy*, to prenumeratę na nią przez niektórych Czytelników nadesłaną, zaliczymy do prenumeraty na *Nową Zorzę*.



Czy dużo mamy takich ludzi?

W książce: *„Najogólniejsze ideały życiowe“*, napisanej przez Bolesława Prusa, czytamy:

»Wyobraźmy sobie człowieka, którego Anglicy nazwaliby »gentlemanem« (dżentelmanem). Według pojęć Anglików, człowiek ten przedewszystkiem kocha jakąś gałąź *pracy*, która mu daje utrzymanie i w której stara się dosięgnąć najwyższej doskonałości.

Następnie lubi jeść, pić, oddychać świeżem powietrzem, i wogóle *używać*, ale zawsze *w granicach* panowania nad sobą.

Dalej posiada on *uczucie społeczne*, dzięki któremu należy do wielu stowarzyszeń, mających na celu jego własne i cudze dobro.

Ma on ciekawość do badań i odkryć naukowych, lubi sport, interesuje się muzyką, malarstwem, poezją; w ogóle sztukami pięknemi, lecz bynajmniej nie uważa ich za najwyższą doskonałość na ziemi.

Dalej ma on *szacunek dla interesów państwowych* względem których spełnia wszystkie obowiązki, zaś *uczucia religijne* ma tak rozwinięte, że albo czyta Biblję i chodzi do kościoła, — albo zajmuje się spirytyzmem. Wiara bowiem w życie przyszłe łagodzi w nim wiele życiowych goryczy i pozwala gardzić śmiercią, co wielką stanowi siłę«.

Takich »dżentelmenów« ma naród angielski dużo pośród siebie, ilu zaś ma ich naród polski, to wglądnąwszy w siebie i oglądnąwszy się koło siebie, sami sobie odpowiedzmy.

Zjedzony sztandar.

(Ze wspomnień powstańca 1831 roku.)

Pułk piąty piechoty liniowej odznaczył się szczególną walecznością. W bitwie pod Iganiami, w oczach generała Prądzyńskiego — na bagnetach rozstrząsł sławną brygadę Lwów Warneńskich, po jednym tylko wystrzale.

W pułku tym był kapitanem Józef Zienkiewicz, typ prawdziwego żołnierza polskiego. Średniego wzrostu, silnie zbudowany; w charakterze dziwnie łagodny, flegmatyk, rzadko wybuchał gniewem, ale każdy taki wybuch był straszny, jak rozgrzanego lwa napaścią. Mocny brunet, przy cerze śniadej, miał duże i wydatne oczy czarne. które się ogniem życia paliły. Zawołany palacz, ćmił fajkę po całych dniach a w nocy, wtedy tylko nie palił, kiedy spał.

Za czasów Księstwa Warszawskiego służył w Legii Nadwiślańskiej: przy organizacyi nowej armii Królestwa Kongresowego wszedł jako podporucznik do piątego pułku piechoty liniowej — w nim awansował — i zostawał aż do wybuchu powstania 1830 roku.

Był tak szczęśliwy, że odbywając wszystkie prawie kampanie za Napoleona Wielkiego do r. 1813, nigdy ani zadraśnięty kulą nie został.

Wiarusy piątego pułku zwali go czarnym kapitanem i uważali za czarownika, bo zawsze na polu bitwy, gdy grzmiały działa, i gęste armatnie kule i granaty nadbiegały, Zienkiewicz nie wypuszczając z ust fajki, zwykł każdą dojrzaną kulę żegnać krzyżem świętym, dodając:

— A idźże piekielne jabłuszko czarne na złamanie karku! a nie tykaj poczciwej katolickiej duszy!

I kule same, jak wiarusy utrzymywali, tym sposobem zażegnane, zaraz się z drogi zwracały, nietknąwszy go nigdy.

Mianowany majorem, objął dowództwo bataljonu piechoty z samych Litwinów złożonego i dzielnie mu przewodził.

Po poddaniu Warszawy, w cofaniu w marszu nad rzeczką naparty był przez brygadę rosyjską. Obsadziwszy most jedną kompanią strzelców, z trzema rozwinąwszy się, tak celnie prażył nieprzyjaciół, że zmusił ich do odwrotu, lubo i sam poniósł niemałe straty, gdy mu przyszło chwi-

łowo utrzymywać ogień kartaczowy z dział, dopóki go nie zagasił, wystrzelawszy wszystkich kanonierów nieprzyjacielskich.

Najwięcej troszczył się o swój sztandar i strzegł go jak oka w głowie.

Zbliżaliśmy się od strony Brodnicy (Strasburgu) ku granicy pruskiej pod wodzą generała Rybińskiego. Z ostatniego noclegu we wsi Szczutkowo ruszyliśmy z porankiem. Widać, że już o tem wiedzieli Rosyanie, bo z lasów dalekich zaczęły się ukazywać gęste kolumny ich piechoty i jazdy z liczną artyleryą.

Przechodzimy fatalny pas suchej granicy i stajemy na ziemi pruskiej!

Muzyka pruska zaczęła grać pieśń »Boże ocal króla«, piechota nasza składała broń w kozły, zawieszając na nich ładownice i odstępowała kompaniami. — Patrzę siedząc na koniu, jakiś batalion stoi kołem obszernym, a ze środka sztandar powiewa; podjeżdżam szybko — i poznaję ukochanego majora Zienkiewicza, dowódzcę tego batalionu, który ujrzawszy mnie przybiegł, a drżąc na całem ciele, objął nogę moją w strzemionie, oparł w nią głowę i zaryczał serdecznym płaczem. — Słyszę jeszcze ten jęk serdeczny starego żołnierza.

— Na to mi przyszło, — zaczął mówić łykającym głosem, uspokoiwszy się nieco, — ażebym po tylu latach, tu, jak tchórz ostatni broń złożył z mundurem moim!

Wiatr powionął chorągwią. Odskoczył odemnie nagle, a wbiegłszy w środek batalionu stanął przy chorążym blady i drżący:

— Wiara moja kochana! Czyż oddamy nasz sztandar albo Niemcom — albo nieprzyjacielowi, ten sztandar, który przez całe powstanie trzymaliśmy tak wysoko?

— Nie, nie! — odezwało się wiele głosów.

— A cóż z nim zrobimy? — spytał młody chorąży, — jak go ukryjemy, panie majorze.

— Co zrobimy! — krzyknął Zienkiewicz w największym zapale. — Zjemy!

Na to słowo osłupiał batalion.— ale on rzekł zaraz:

— Chorąży obedrzej chorągiew z drzewca, a wy wiara niech każdy usta rozdziawi; po kawałku go udzielę, jako komunikant żołnierski i ocalimy nasz sztandar.

Kiedy chorąży spełnił dany rozkaz, Zienkiewicz z jego pomocą i oficerów zaczęli drzeć na drobne szmaty. a następnie na drobniejsze kawałki. major obchodził żołnierzy i po chwili sztandar był zjedzony, drzewce pozostało połamane i rzucone na pobliskie ognisko, na którem zgorzało. — Ognisko to otoczył cały batalion, patrzył smutnie z załzawionemi oczyma, jak niknie w płomieniach część drogiej rycerskiej relikwii.

Major Zienkiewicz stał spokojnie z założonymi rękami, z wybladłem obliczem, po którem łzy jak groch spadały.

Mało mi serce z bólu nie pękło, zwróciłem konia i ruszyłem ku granicy, gdzie huk dział zapowiadał ostatnią bitwę.

Było to dnia 4 października 1831 roku. *K. W.*

O prawdziwem chrześcijaństwie.

Napisał J. Piętka, prof. szkół średnich.

(Ciąg dalszy)

Główną przeszkodą w wykonywaniu prawa miłości bliźniego jest *chciwość* pożądanie bogactw i wygód zbytkowych. *„Korzeniem złego chciwość“* — powiedział Mędrzec. Chrześcijanin jednak, gdyby naprawdę był przekonany o nieśmiertelności swej duszy i o tem. że nie tu na ziemi kres jego życia, że szczęście osiągnie dopiero w innem życiu, gdy tego życia będzie mądrze, według praw Bożych używał, nie przywiązywałby się zbytnio do bogactw i nie poświęcałby zdobyciu ich wszystkich swych wysiłków. A już w żadnym razie nie odważyłby się z krzywdą bliźniego dojść do posiadania czegokolwiek.

W myśl tych zasad cała nauka Chrystusowa zdąża, możnaby powiedzieć, do zwalczania tej jednej najgorszej namiętności: chciwości.

Trzebaby przepisać tu może połowę Ewangielii, gdybyśmy chcieli przytoczyć to wszystko, co Chrystus mówił o chciwości, jak w rozmaity sposób starał się przekonać ludzi, że nie należy im być chciwymi, ale hojnymi i miło-

siernymi. Np.: „*Nie można służyć Bogu i mamonie*", albo: „*Nie skarbcie sobie skarbów na ziemi, ale skarby w niebie*", albo: „*Nie troszczcie się, co będziem jeść, albo co będziem pić, albo czem się będziemy przyodziewać, bo tego wszystkiego poganie pilnie szukają*" i t. d. i t. d.

Słowa te i wiele innych są wszystkim chrześcijanom dobrze znane, ale cóż z tego? Kto im dziś wierzy, i do nich się stosuje w życiu? Ogromna większość chrześcijan sądzi, że to są piękne słowa, wskazujące jakąś nadzwyczajną doskonałość i cnotę, do której wzdychać możemy, ale której wykonać nie jesteśmy w stanie.

I w tem się właśnie mylimy. Wszyscy bez wyjątku, jeżeli nie chcemy ugrząznąć w materyaliźmie, obowiązani jesteśmy i musimy wyrwać z serca naszego przesadną troskę o jutro, a troszczyć się o »królestwo Boże na ziemi«, to jest o dobro, postęp, doskonałość, o miłość wśród wszystkich ludzi.

Ludzie zabiegają i troszczą się zazwyczaj o zebranie majątku, jak mówią, głównie z obowiązku, aby dzieciom »byt zabezpieczyć«. Troskliwość o dzieci jest usprawiedliwiona, ale i ona powinna być chrześcijańską, a więc skierowaną najpierw ku temu, aby dzieci nauczyć pracować i tak wychować, by i one nie były chciwemi, lecz szukały »królestwa Bożego i sprawiedliwości jego«.

Wiemy o takim prawdziwym wypadku, że dzieci nie chciały znać starego ojca, który im znaczny majątek zostawił i ten odepchnięty ojciec tak narzekał: »Całe życie zabiegałem, pracowałem, nawet kradłem i oszukiwałem, gdziem mógł, aby zebrac dlo dzieci, a one mię dziś nie znają!«

Takich wypadków jest bardzo dużo. Więc w naszej tego rodzaju troskliwości o dzieci tkwi prosty materyalizm, w bogactwie widzimy szczęście własne i naszych dzieci.

Chrześcijanie dzisiejsi tak dalece utracili ducha chrześcijańskiego, że nawet nie czują tego; iż źle czynią, gdy w całości są pogrążeni w staraniach o dobra materyalne

Co innego troska o byt, o zaspokojenie skromnych, ale koniecznych potrzeb, — tego nikt nie gani, — a co innego upatrywanie całego szczęścia w zbogaceniu się, i usilne do niego dążenie wszelkimi, choćby niegodziwymi środkami.

Prawdziwy chrześcijanin nie przywiązuje się zbytnio do dóbr doczesnych, bo wie i pamięta o tem, że to życie

jest tylko przygotowaniem się do życia doskonalszego, które nas czeka za grobem. A najlepiej przygotować się można zapomocą uszlachetniania swej duszy przez dobre uczynki względem bliźnich, spełniane z miłości ku Bogu, aby Mu chwałę przez to oddawać.

Ilu jednak chrześcijanin tak pojmuje swe życie i wykonuje dobre uczynki? Wielu nawet nie rozumie należycie, co to jest dobry uczynek. Przyjęła się formułka, że to jest: »modlitwa, post i jałmużna«. A więc odmawiać dużo pacierzy, spożywać w dnie postne potrawy bez mięsa i czasem dać spotkanemu żebrakowi parę groszy, — to już jest wszystko, co dobry chrześcijanin czynić powinien.

I nie ma sobie wcale za złe taki »dobry« chrześcijanin, gdy poza tem nic innego nie czyni, jak tylko wyzyskuje swoich bliźnich, aby sobie majątku przysporzyć. Swoją pracę ceni bardzo wysoko i żąda za nią wielkiej zapłaty, ale pracę drugiego ceni nisko i źle wynagradza. Zakłada »przedsiębiorstwo« z tym zamiarem, aby wykorzystać albo łatwowierność ludzką, albo co gorsza, przymusowe złe położenie ludzi biednych.

Gdy łatwo i dużo, prawie bez pracy, zarobi, cieszy się, że zrobił »znakomity interes«. i nie ma sobie tego za nieuczciwy wyzysk. Przywłaszczyć sobie sierocy, albo inny majątek, to zwykła rzecz. W handlu, przy kupnie lub sprzedaży, kogo okpić, to tylko chwalebny spryt. Użyć protekcyi i otrzymać korzyść, któraby się komu innemu należała, tego się nie uważa za krzywdę. Albo za pieniądze lub inną przysługę kogoś niezasłużonego protegować, to także nic złego. To wszystko bardzo pięknie z naszem chrześcijaństwem umiemy pogodzić.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Umarli żyją.

(Ciąg dalszy)

Zakonnej Siostrze Katarzynie od Jezusa pokazała się św. Teresa po swej śmierci dwukrotnie. Gdy Siostra Katarzyna uważała to zjawisko za złudzenie zmysłów i nie śmiała zbliżyć się do Świętej, rzekła do niej św. Teresa:

»pochwalam to, iż nie łatwo dajesz wiarę temu, co widzisz, milszą bowiem dla mnie jest rzeczą i pożądańszą, aby w moich klasztorach więcej zważano na cnoty prawdziwe, niż na wizye i objawienia, żebyś jednak wiedziała, że ta wizya nie jest fałszywą lecz prawdziwą, zbliż się do mnie«.

Mówiąc to ujęła św. Teresa ręce Siostry Katarzyny, dotknęła rany, na którą ta Siostra od długiego czasu cierpiała i z której nikt wyleczyć jej nie mógł i znikła.

Cud ten zadziwił wszystkich, którzy ranę Siostry Katarzyny przedtem widzieli, a która teraz tylko bliznę po sobie na jej ręce zostawiła.

O. Ribera pisząc o tem zjawisku przypomina, że o podobnych zjawianiach się Świętych dużo można się dowiedzieć z dzieł Grzegorza Wielkiego, pełno ich także zwłaszcza w opisie życia św. Benedykta. Ojciec i Doktór Kościoła św. Bonawentura stwierdza również w swych pismach, iż mu się nieraz ukazywał św. Franciszek z Asyżu po swej śmierci, a Cyryl, biskup jerozolimski pisze, że mu się pokazywał św. Hieronim.

Błogosławiony Karol Secce (zmarły 6 stycznia 1670 r. w Rzymie) pokazał się po swej śmierci umierającemu Piotrowi Titi, zachęcał go, by się podniósł z łoża, i w tej chwili Titi powstał całkiem zdrów. W ten sam sposób pokazał się błogosł. Karol Secce umierającej Joannie Ceccano i nagle ją uzdrowił.

Zmarła 10 czerwca 1882 r. czcigodna założycielka zakonu »Sióstr św. Doroty« Paula Frassinetti, pokazała się, jak pisze w jej życiorysie kardynał Capecelatro, arcybiskup Neapolu, pewnemu pobożnemu kapłanowi w Rzymie, a w miejscowości Rivavola niejakiej Katarzynie Danavano, kobiecie starszej wiekiem, która czcigodną założycielkę bardzo poważała.

Gdy brat Kryspin, późniejszy Święty, leżał w Orvieto na łożu boleści, a pielęgnował go brat Krzysztof, człowiek wielkiej prostoty, świątobliwy starzec odpłacał się mu za tę pielęgnacyę wielką miłością

Pewnego dnia, brat Kryspin, czując się bliskim śmierci, w te słowa odezwał się do brata Krzysztofa: »czy wiesz bracie, co zrobię, gdy umrę i przez miłosierdzie Boże a za przyczyną Matki Najdroższej dostanę się mimo moich grzechów do nieba?«

»No, i co?« pytał brat Krzysztof.

»Będę prosił Pana Boga o pozwolenie pokazania się tobie.«

»O!« zawołał w naiwności swojej brat Krzysztof, »tylko mnie nie przestrasz!«

»Nie bój się, mój fraticello (braciszku)«, odpowiedział, śmiejąc się, brat Kryspin, »przyjaciele Pana Boga, nie przychodzą z nieba na ziemię, by tu swych ziemskich przyjaciół straszyć«.

Na tem rozmowę przerwano. Brat Kryspin nie umarł tym razem, lecz nawet wyzdrowiał i udał się do Rzymu.

Dnia 19 maja, w dniu śmierci naszego Świętego, znajdował się brat Krzysztof jako towarzysz swego gwardyana w mieście Canapina i odpoczywał po obiedzie w swej celi.

Nagle obudził się z uczuciem, jakby ktoś wołał na niego. Ogląda się i widzi brata Kryspina unoszącego się na świetlanym obłoku i otoczonego niebiańską światłością.

»Patrzył na mnie z uśmiechem«, opowiadał potem brat Krzysztof o tem zjawisku, a był tak piękny, żem spieszył do niego, by go uścisnąć, ale Święty oddalił się od okna i podążył na owym obłoku ku niebu«.

Brat Krzysztof nie wątpił już o śmierci brata Kryspina, a przypomniawszy sobie rozmowę z nim w Orvieto, przekonał się, że »przyjaciele Pana Boga nie przychodzą z nieba na ziemię, by tu swych przyjaciół przestraszać«.

Pełen radości pospieszył brat Krzysztof zaraz do swego gwardyana i opowiedziawszy mu o tem zjawisku, dodał: a my będziemy pierwszymi, którzy doniesiemy innym braciom o śmierci Świętego w Viterbo i w innych klasztorach.

Po dwóch dniach podróży, gdy przybyli do Orvieto, nadeszła z Rzymu wiadomość, że brat Kryspin zmarł na kilka godzin przed chwilą, w której go widział brat Krzysztof.

W procesie kanonizacyjnym św. Klemensa Hofbauera (Dworzaczka), zaprzysiężeni świadkowie zeznali, co następuje:

»Miałyśmy — opowiada jedna z zakonnic w naszym klasztorze św. Urszuli pobożną Siostrę służebną, imieniem Sebastyana, która była dla nas wszystkich wzorem pobożności, a ojciec Hofbauer bardzo ją cenił, i raz w żarcie nazwał ją »Świętą«.

— Kto, świętą — ja? Ależ ja jestem tylko nędznym robaczkiem, czcigodny zaś Ojciec jest świętym, bo nawraca wielkich grzeszników. chrzci żydów i uczy ludzi czcić i kochać Pana Boga, a to wszystko człowieka robi świętym.

— Kiedy tak sądzisz rzekł O. Hofbauer, to ja Ci będę przy śmierci asystował i zabiorę cię do nieba.

— Dobrze — odrzekła Siostra Sebastyana — trzymam czcigodnego Ojca za słowo.

W kilka lat po śmierci O. Hofbauera, gdy Siostra Sebastyana leżąc na łożu boleści była już bliską śmierci, przypomiała sobie obietnicę O. Hofbauera i nagle zawołała: »Ojciec Klemens! O. Hofbauer!« — w chwilę zaś potem z radością i spokojnie oddała ducha swego Bogu.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Żydzi w Polsce.

II.

Plaga żydowska musiała się dać dobrze we znaki narodowi polskiemu już na początku 16 wieku, skoro w statucie Zygmunta starego z r. 1583, czytamy w rozdziale: »O żydach« następujące słowa:

»Ponieważ coraz większa śmiałość złodziei tem się tłómaczy, że mają możność pewnej sprzedaży kradzionych rzeczy u żydów, stanowi się tedy, że żydzi kradzione rzeczy posiadający jeżeli nie stawią winnego mają być obwieszani jako współwinowajcy«. Żydzi zatem, jak zawsze, odgrywali tu rolę pierwszorzędną. Wpływ ich był w najwyższym stopniu demoralizujący. Niewątpliwie też liczba złodziei byłaby w Polsce bardzo mała, gdyby protektorami ich i odbiorcami nie byli żydzi.

Nie kto inny też, tylko żydzi trudnili się handlem i wyprowadzaniem koni z Polski. W roku 1557 uchwalono na sejmiku warszawskim prawo, mocą którego zabroniono wyprowadzania koni z Polski, nad czem pilnie czuwać mają starostowie, »*żydowie* zaś« — czytamy dalej w owym za-

kazie — »aby nimi przekupować nie śmieli, a ktoby się ważył tego, tedy przez starostów ma być iman, a konie mają mu być wzięte a sam obwieszon bez folgi«. Handel końmi był więc jakby odwieczną słabostką żydów.

Myliłby się jednak każdy, ktoby sądził, że żydzi tylko końmi handlowali, lepszym jeszcze dla nich interesem było *wywożenie dziewcząt* chrześcijańskich na Wschód, głównie do Turcyi. W samym Konstantynopolu sprzedawano w 16 i 17-tym wieku po 20 tysięcy tych nieszczęśliwych niewolnic rocznie. Pochodziły one już to z jasyru tatarskiego, już to przywozili je z Polski i z Czerwonej Rusi żydzi.

Żydzi wyzyskiwali nie tylko szlachtę, która jako tako przed nimi się broniła, ale jeszcze dotkliwiej uciskali mieszczan, bo wykupywali od włościan i od szlachty żywność, którą potem odsprzedawali po znacznie wyższej cenie ubogim mieszczanom.

Świadczy o tem Konstytucya z roku 1588, która postanawia, że »żydzi nie mają zakupywać towarów i żywności, uprzedzając w tem chrześcijan i zachodząc przed miasta dla skupywania, oprócz jarmarków głównych, a to pod utratą tegoż towaru i żywności«.

Wspomnieliśmy na początku niniejszej rozprawki, że królowie polscy często oddawali żydom w dzierżawę cła, myta i żupy solne. Za czasów Kazimierza Wielkiego mieli w swych rękach mennicę i bili pieniądz polski. Prawie na każdym sejmie w 16 i 17-tym wieku zapadały Konstytucyę zabraniające żydom dzierżawienia myt i ceł, mimo to żydzi dalej je dzierżawią.

Po wsiach trudnią się żydzi w owych czasach, tj. w 16 i 17-tym wieku propinacyą i wyrabianiem trunków gorących. Przeciw temu występuje stanowczo wyżej wymieniona Konstytucya, według której nie wolno było żydom ani ceł, ani myt trzymać, »ani targów, ani kupiectwa czynić«, aby zaś oszustów żydowskich odróżnić od reszty ludności i uchronić ją od nich, nakazano żydom nosić »żółte czapki«.

Najdotkliwszemi jednak dla chrześcijan były żydowskie nadużycia lichwiarskie. Nie było w Polsce żadnego prawie stanu, któryby nie odczuwał ciężaru lichwy żydowskiej.

Ponadto żydzi wywozili, podobnie jak dziś, dobry pieniądz z kraju, a w jego miejsce puszczali w obieg fałszywą monetę, na czem cierpiała wielce uboższa ludność miejska,

która nawet nie mogła się nikomu uskarżyć, bo władze nieraz dawały się przekupić i stawały po stronie żydów.

O łajdactwach żydów w Polsce tak pisze poeta Sebastyan Klonowicz, który był sędzią »spraw żydowskich« w Lublinie: »Jak pijawka szkodzi ciału, jak mól niszczy suknie, a rdza zjada żelazo, tak »żyd-włóczęga« przez sztukę i bezprawia wżarł się w ciało narodu«.

Przyrównuje następnie Klonowicz żyda do robaka, który odrazu wprawdzie nie może dębu zniszczyć, za to jednak powoli na próchno go przegryza.

Poeta przewiduje, że ten »obcy żywioł« pożre bogactwa kraju a Rzeczpospolita jęknie poniewczasie »gdy krew z jej ciała będzie już wyssana i wszelkie życie obumarłem zda się«.

Co dziś wiemy o słońcu.

(Dokończenie.)

Jaka jest natura słońca?

Że jest to kula niezmiernie gorąca, to nie podlega żadnej wątpliwości; ale pytanie, czy ta kula składa się z jakichś twardych ciał, rozpalonych do białości, czy z cieczy, czy też z gazów.

Do niedawna sądzono, że słońce jest ciekłą wewnątrz kulą, że większość jego składników to roztopione metale, że plamy są niejako skrzepłemi masami, pływającemi po morzu ognistem, ciekłem, niby żużle po roztopionem żelazie, a nad kulą ciekłą unoszą się rozpalone gazy. Ale w nowszych czasach astronomowie skłaniają się do przypuszczenia, że najbardziej nawet odporne na ogień metale muszą w nim zamienić się w parę.

Słońce jest więc *kulą gazową*, o niezmiernie wysokiej ciepłocie. Ma się rozumieć, że te gazy, leżąc jedna warstwa na drugiej, wywierają na siebie w głębi kuli straszne ciśnienie, ale pomimo tego gazy nie mogą zamienić się na ciecze to jest nie mogą się skroplić z powodu niezmiernego gorąca. Przybierają więc stan pośredni pomiędzy cieczą a gazem.

Ciepłotę słońca wymierzono dokładniej dopiero niedawo i przekonano się, że panuje na niem gorąco, jakiego na ziemi nawet sztucznie nie można wytworzyć. Lampa elektryczna, w której jak wiadomo, prawie wszystkie metale, nawet węgiel, ulatniają się. — ma 3600 stopni ciepła, na słońcu zaś gorąco dochodzi do 6 tysięcy stopni.

Nic dziwnego, że taka wysoka temperatura przeszkadza nawet bardzo ściśniętym parom metalicznym przejść w stan ciekły, skroplić się. Ta olbrzymia kula, stykając się swoją powierzchnią z zimną przestrzenią, ochładza się i mogą się skutkiem tego tworzyć obłoki par zimniejszych, i te, zasłaniając światło, robią wrażenie plam słonecznych ale, jak powiedzieliśmy, jest to tylko przypuszczenie, nic więcej.

Taka gorąca i olbrzymia kula wydaje, rzecz zrozumiała, wielkie ilości ciepła, które promienisto rozchodzi się w przestrzeń i udziela się planetom, krążącym dokoła słońca, a więc i naszej ziemi. Cząstka, przypadającą ziemi w udziale, jest bardzo drobna, ale niemniej przeto wystarcza zupełnie dla podtrzymywania na powierzchni naszego globu życia. Obliczono, że ilość ciepła, dostarczana w ciągu roku naszej ziemi byłaby zdolną stopić warstwę lodu, pokrywającą całą jej powierzchnię na 31 metrów grubo!

Jednakże dowiedziono, że ilość ciepła wysyłana w przestrzeń przez słońce nie jest ciągle jednakowa. Co do tego robił bardzo ciekawe spostrzeżenia amerykański uczony Langley. Podług niego na wiosnę i w lecie 1903 roku, który był bardzo zimny i dżdżysty, siła promieni słonecznych znacznie się zmniejszyła i spadła o jedną dziesiątą część w porównaniu do zwykłej: potem jednak podniosła się do zwykłego poziomu.

Jeżeliby takie zmniejszenie się ciepła, otrzymanego od słońca na ziemi, odbywało się stale, to odbiłoby się to bardzo smutnie na temperaturze, a więc na klimacie. Średnia roczna temperatura spadłaby z siedemnastu stopni aż do dziesięciu, to znaczy, że w całej Europie zapanowałoby takie zimno, jak w północnej Rosyi europejskiej, zboża by niedojrzewały, zima trwałaby pół roku, słowem nastąpiłaby zupełna zmiana; ludzie musieliby uciekać do krajów południowych. Jaka była przyczyna tego zmniejszania się ciepła słonecznego, nie wiadomo.

Dodać należy, że przed kilku tysiącami lat Europa przechodziła tak zwaną *epokę lodową,* podczas której lodowce zajmowały znaczniejszą część powierzchni naszej części świata. Być może, że to długotrwałe oziębienie się klimatu europejskiego znajdowało swoją przyczynę w zmniejszeniu się ilości ciepła, wysyłanego przez słońce.

Z tego cośmy powiedzieli wyżej, widzimy, że dużo jeszcze tajemnic ma dla nas słońce, ale z drugiej strony uczeni zdołali poznać takie, jakie wydawały się jeszcze przed 50 laty nieprzeniknionemi. Oto odnaleźli, jakie metale, jakie gazy znajdują się na słońcu i na gwiazdach, a to przez *rozpatrywanie światła* ciał niebieskich w przyrządzie zwanym widmowidzem (spektroskopem). W opisanie tego sposobu zwanego rozbiorem widmowym nie możemy się tutaj wdawać dla braku miejsca, powiemy więc tylko, do jakich wyników doprowadziły badania w tym kierunku.

Stwierdzono więc na słońcu obecność prawie tych wszystkich ciał, jakie mamy na ziemi. Jest tam z metalów: żelazo, nikiel, cynk, ołów, miedź, sod, potas, aluminium, czyli glin i wiele innych rzadszych, z gazów: wodór i hel, który z początku odkryto na słońcu tylko, a potem dopiero przekonano się, że znajduje się on także na ziemi. Są też inne gazy, znane nam dobrze, o których nie wspominamy.

Najważniejszy jest tutaj fakt, że *słońce składa się z tych samych materyałów, z jakich zbudowana jest i nasza ziemia.*

To samo dotyczy dalekich gwiazd, skąd szybkie światło potrzebuje nie minut, ale tysięcy lat, żeby się do nas dostać. Tak też dzięki nauce możemy z jednego promyka, który nam przyśle z nieskończonej dali gwiazda powiedzieć, z czego się ta gwiazda składa! W łonie ognistej kuli słonecznej muszą zachodzić różne ruchy, muszą tworzyć się prądy gwałtowne, które uczeni starają się zbadać, ale te badania, nawet przy udoskonalonych narzędziach, są niezmiernie trudne, dlatego to dotąd nie zdołali poznać dokładniej natury słońca, która jest dla nas źródłem życia. Może z czasem dowiemy się więcej, bo uczeni nie ustają w pracy. *W. U.*

To i owo.

Miasteczko dla pracującej inteligencyi.

Niedaleko Paryża zbudowane będzie w bliskiej już podobno przyszłości miasteczko, którego domy wynajmowane będą jedynie osobom należącym do pracującej inteligencyj, a więc profesorom, urzędnikom, literatom i dziennikarzom francuskim za niskim czynszem po 1800 do 2 tysięcy franków rocznie.

Każdy domek przeznaczony będzie dla jednej rodziny i składać się będzie z 4 do 6 pokoi.

Zbudowaniem tego miasteczka zajmie się Komitet, który w ten sposób chce uczcić pamięć sławnej artystki teatralnej Sary Bernhardt, i jej imieniem nazwie owo miasteczko.

Jakie dochody mają Amerykanie.

Wedle obliczeń dokonanych przez jeden z banków amerykańskich dzienny dochód obywateli Stanów Zjednoczonych wynosił w roku 1923 około 200 milionów dolarów.

Z powyższej kwoty odkładają obywatele Stanów Zjednoczonych dziennie 30 milionów, jako oszczędności, więc o tyle wzrasta majątek narodowy.

Na zakup samochodów wydali obywatele amerykańscy w roku 1923 olbrzymią sumę bo 3 i pół miliarda dolarów, a 2 i pół miliarda zużytkowano na budowę nowych linij kolejowych oraz na inne cele użyteczności publicznej.

WESOŁY KĄCIK.

Szczęśliwy.

— Znalazłem doskonałą posadę, zarabiam miesięcznie dwieście złotych więcej, niż poprzednio.

— A wiele zarabiałeś przedtem?

— Nic. Byłem bez posady!

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. Marceli Dziurzyński.
Odbite w drukarni „Czasu" w Krakowie ul. św. Tomasza 32.

Odezwa i prośba!

Ciężkie i smutne nastały dziś czasy. Drożyzna w Polsce wzrosła w ostatnich latach do nieprzewidzianej wysokości. Utrzymanie **2 Zakładów sierót** t. j. w Kochawinie (w Małopolsce wschodniej) i w Sidzinie koło Jordanowa, tuż u stóp Karpat — to rzecz wymagająca dziś wielu setek tysięcy »złotych«.

A że sam jestem niezamożny, probostwo zaś moje nie daje ani w setnej części dochodów potrzebnych na utrzymanie tych dwóch Zakładów sierót, więc odzywam się do serc miłosiernych i proszę o jakiekolwiek datki dla biednych sierót.

Pozwolę tu sobie przypomnieć słowa Chrystusa Pana: »Cokolwiek uczyniliście jednemu z tych maluczkich, mnieście uczynili«.

Ks. J. Trzopiński

prałat i proboszcz **w Kochawinie** (poczta Kochawina Małopolska wschodnia).

Raczcie drodzy Rodacy i Rodaczki

pamiętać o **biednych sierotach**, któremi się opiekuje, które wychowuje i żywi Siostra Iwona w Krakowie. Jest w tym Zakładzie sierót przeszło 30 — a mało kto o nich pamięta — i nieraz te sieroty jeść co nie mają.

Wszelkie łakawe datki przyjmuje z wdzięcznością przełożona Zakładu:

Siostra Iwona Podmagórska **w Krakowie,** ul. Kopernika 32.